

OD JODI PICOULT

Byłam na promocji w Los Angeles, kiedy zadzwonił telefon. „Mamo”, powiedziała moja córka Sammy. „Mam chyba świetny pomysł na książkę”.

Nie zdziwiło mnie to. Z trójki moich dzieci Sammy zawsze wyróżniała się niezrównaną fantazją. Kiedy inne maluchy bawiły się pluszowymi zwierzątkami, ona rozrzucała zabawki po domu i tworzyła skomplikowane scenariusze – miś jest ranny, utknął na szczycie Mount Everestu i trzeba do niego posłać psa ratownika. W drugiej klasie zadzwonił do mnie jej nauczyciel z pytaniem, czy przepiszę na maszynie opowiadanie Sammy. Podobno miało czterdzieści stron. Córka przyniosła je ze szkoły, a ja spodziewałam się czegoś bez ładu i składu. Tymczasem była to bardzo przemyślana opowieść o rybie i kaczce, które spotykają się nad stawem i zostają przyjaciółkami. Kaczka zaprasza rybę na kolację, a ryba na to jak na lato. Ale potem nadchodzi ją obawa, czy przypadkiem sama nie skończy w roli posiłku.

Panie i panowie, nosi to nazwę KONFLIKTU, i nie sposób się tego nauczyć w szkole. Człowiek rodzi się ba-

jarzem lub nie, a moja córka – w wieku lat siedmiu – posiadała rozwiniętą zdolność budowania napięcia literackiego. Jej zacięcie twórcze rozwija się z wiekiem, a koszmary są tak plastyczne, że zawstydziłaby Stephen Kinga. Jako nastolatka pisze takie wiersze, że gdy zaglądam do własnych wycopin z tamtego okresu, odpadam w przedbiegach.

Dlatego... kiedy powiedziała mi, że ma ciekawy pomysł na książkę dla młodzieży, nadstawiłam ucha.

I wiecie co? Miała rację.

A gdyby bohaterowie bajki żyli własnym życiem, kiedy książka jest zamknięta? Gdyby akt czytania był tylko wielokrotnym odtwarzaniem tego samego scenariusza... i nie przeszkadzał bohaterom snuć własnych marzeń, nadziei i aspiracji bez związku z rolami, które odgrywają? I gdyby jeden z owych bohaterów rozpaczliwie pragnął wy dostać się z książki?

Albo jeszcze lepiej: gdyby zakochana w nim czytelniczka postanowiła mu pomóc?

– Mamo – powiedziała Sammy, gdy przedzierałam się zatłoczonymi ulicami Los Angeles. – A gdybyśmy tak razem napisały książkę?

– Dobrze – odpowiedziałam. – Ale to znaczy, że *my* piszemy. Nie ja.

Po czym nastąpiły dwa lata weekendów, wakacji i wieczorów spędzonych przy moim komputerze na mozolnym dopracowywaniu historii. Sammy chyba nie podejrzewała, jaka to katorga siedzieć i wymyślać, a ja przekonałam się, że chociaż trudno skłonić nastolatkę do posprzątania pokoju, jeszcze trudniej skłonić ją

do dokończenia rozdziału, gdy na zewnątrz świeci słońce. Pisałyśmy na zmianę i wypowiadałyśmy każde zdanie na głos. Ja mówiłam jedno, a Sammy wskakiwała z następnym. Najfajniej było, kiedy zaczynałyśmy się przekrzykiwać i odkrywałyśmy, że myśliśmy dokładnie o tym samym, jakby podczas pracy łączyła nas telepatia.

Zdarza się, że czytam świetną książkę i myślę sobie: rany, że też sama nie wpadłam na ten pomysł. To prawdziwy zaszczyt poczuć to samo w przypadku historii wymyślonej przez własną córkę. Kiedy Sammy zadzwoniła do mnie ze swoim pomysłem, uznałam go za wspaniały. Mam nadzieję, że czytając *Z innej bajki*, pomyślicie to samo.